



Wczesnym rankiem spakowani przepłynęliśmy sikharami z houseboatów do trzech jeepów, które miały nas zabrać w dwudniową podróż - do Ladakhu. Znalazłam się w samochodzie przeznaczonym dla osób, które mają specjalizację z geografii i usłyszeliśmy mnóstwo ciekawych informacji na temat otaczającej nas przyrody. Pierwszy postój mieliśmy na 2000 m n.p.m. i zobaczyliśmy pierwszy kryjący się za górami lodowiec. Jechaliśmy cały czas wzdłuż zielonych lasów, które powoli przeradzały się w tak zwaną górską pustynię. Najwyższy punkt w jakim się znaleźliśmy to ok 4000 m n.p.m. Niektórzy z nas poczuli się niekomfortowo co okazało się niezbyt poważną chorobą wysokościową. Po drodze do świątyni buddyjskiej pokazano nam podobne złudzenie optyczne do tego, które możemy zaobserwować w Polsce na górze Żar, które polegało na tym, że wydawało się, że jedziemy w dół, a jednak nasz samochód jechał w przeciwną stronę. W końcu dojechaliśmy do świątyni, przed którą parę kilometrów wcześniej była ułożona swastyka z kamieni (znak szczęścia) i gdzie chłopcy spróbowali jak to jest biegać na poziomie 4000 m n.p.m. i przyznali, że nie jest to to samo co bieganie u nas w parku czy mieście. Sama świątynia buddyjska była niewielka. Według legendy kiedyś było w tamtym miejscu jezioro, zamieszkane przez demony. Przybył tam wtedy pewien mędrzec, który przepowiedział, że będzie tam kiedyś stać świątynia i złożył ofiarę z ziaren kukurydzy, które rozwiały się w kształt swastyki a tam powstała potem owa świątynia. Zaczęło się powoli ściemniać i w końcu dojechaliśmy do małej wioski - Alchi. Udało nam się znaleźć hotel i pierwsze co zrobiliśmy po zajęciu pokoi to zebraliśmy się na tarasie i wpatrywaliśmy się w niebo, które było takie czyste i pełne jasnych gwiazd. Szybko zjedliśmy kolację, na którą składała się tybetańska zupa - thukpa. Bardzo nam zasmakowała bo była ciekawą odmianą po typowych indyjskich daniach. Wróciliśmy do pokoi, a niektórzy zostali jeszcze poobserwować rozgwieżdżone niebo.

Po śniadaniu przed dalszym ciągiem jazdy do Leh, przeszliśmy się po Alchi. Pooglądaliśmy różne błyskotki wystawione przez sprzedawców, znajdujące się po drodze do kompleksu małych świątyń buddyjskich. Był on najstarszy w tym regionie, zbudowany przez wielkiego tłumacza Lotsawę, któremu pomagało 20 kaszmirskich artystów. Wsiadliśmy w jeepy i pokonaliśmy ostatnie kilometry do stolicy Ladakhu. Cały czas, mimo ciągłej choroby wysokościowej, byliśmy przyklejeni do szyb i oglądaliśmy ciekawie ułożone fałdy oraz kolory warstw, tworzących otaczające nas góry. Po dojechaniu na miejsce poszukaliśmy hotelu, a po rozpakowaniu się rozejrzeliśmy się po miasteczku. Spotkaliśmy paru Polaków, którzy byli zaskoczeni widząc grupę nastolatków, która bez problemów radzi sobie sama w Indiach. Dumni z naszych nabytych przez parę tygodni umiejętności targowania, znaleźliśmy kantor i wymieniliśmy pieniądze po jak najlepszym kursie. Wróciliśmy do hotelu i korzystając z pojawienia się ciepłej wody wykąpaliliśmy się i wyspaliśmy się po nieco męczącej podróży.

Obudziwszy się na terenie Małego Tybetu i po zorganizowaniu sobie śniadania, zebraliśmy się i ruszyliśmy w stronę Leh Palace. Idąc w górę ponownie zauważyliśmy jak ciężko jest z jakimkolwiek wysiłkiem na tej wysokości (3500 m n.p.m). Weszliśmy do pałacu, gdzie znajdowały się galerie zdjęć z różnych miejsc z Indii. Jeszcze przed wejściem, udaliśmy się do świątyni na szczycie góry, z której rozpościerał się przepiękny widok na miasteczko oraz niesamowite góry, które zbudowane były z piaskowca, a naprzeciwko nas było pasmo ośnieżonych szczytów, w tym najwyższej tam góry - Stok Kangri. Potem znów mieliśmy czas na zwiedzanie Leh samemu. Kupiliśmy mnóstwo warzyw na śniadanie. Spakowaliśmy się do



plecaków bo kolejnego dnia ruszaliśmy nad Pangong.

Po pobudce przenieśliśmy rzeczy do jednego pokoju, wzięliśmy plecaki i zapakowałyśmy się do samochodów i ruszyliśmy nad Pangong. Odwiedziliśmy pierw klasztor w Hemis, gdzie znajdowała się thangka odkrywana raz na 12 lat (która odkryta będzie w przyszłym roku w lipcu). Ponownie jechaliśmy wśród pięknych widoków jadąc coraz wyżej i wyżej, aż wyjechaliśmy na trzecią najwyższą przełęcz na świecie. Powitani tam zostaliśmy przez znak „Welcome to the Chang La - 5360 m n.p.m.” oraz przez niecodzienną dla Indii temperaturę, która sprowokowała nas do ubrania się w kurteczki i czapki. Po drodze nad jezioro ponownie otaczały nas ciekawe formy geologiczne i mnóstwo rzek tworzących się poprzez topnienie lodowców. W końcu dojechaliśmy nad przepiękny Pangong, którego woda była turkusowa a w niektórych miejscach czerwona, gdyż odbijały się tam góry, które otaczały zbiornik. Byliśmy zachwyceni tym widokiem więc od razu po dostaniu domków porobiliśmy mnóstwo zdjęć i spędziliśmy czas nad jeziorem aż do kolacji. Byliśmy bardzo głodni więc rzuciliśmy się na jedzenie, które bardzo nam smakowało. Wracając do domków mieliśmy kolejną okazję by pooglądać przepiękne gwiazdy, a potem z przepełnionymi brzuchami udaliśmy się do łóżek.

Pomimo tego, że na dworze było stosunkowo zimno i chodziliśmy w kurtkach, szalach i czapkach to wyspaliśmy się w ciepłych pokojach. Zjedliśmy szybkie śniadanie i porobiliśmy jeszcze parę zdjęć nad jeziorem, a potem wsiedliśmy w samochody i ruszyliśmy w drogę powrotną do Leh. Oglądając znów niesamowite widoki, zobaczyliśmy rzekę, która sprawiała wrażenie, że płynie pod górę. Część drogi spędziliśmy jadąc wzdłuż zielonej Doliny Indusu, która cudownie kontrastowała z pomarańczowobrazowymi górami. Zanim dojechaliśmy do Leh wstąpiliśmy do dwóch miejsc. Pierwsze to klasztor znajdujący się w Thikse i w nim zobaczyliśmy ogromny posąg Buddy, który poświęcony został przez XIV Dalajlamę. Drugie - Stok Palace, czyli pałac, do którego została przeniesiona z Pałacu w Leh rodzina królewska. Po przyjeździe do Leh poszliśmy coś zjeść i przygotować śniadanie na jutrzejszy przejazd.

Następnego dnia mieliśmy wyjazd do Keylongu. Wyjechaliśmy jeszcze kiedy było ciemno więc pozwoliliśmy sobie na krótką drzemkę, a potem znów oglądaliśmy krajobraz zmieniający się za naszymi oknami. Mieliśmy parę postojów na czai i śniadanko, a potem wyjechaliśmy na drugą najwyższą przełęcz na świecie! Miała ona 5328 m n.p.m. i staliśmy tam w temperaturze bliskiej 0 stopni! Mieliśmy też przygodę na półce skalnej, z której wydawało się nam, że zaraz spadniemy, a tam co chwilę wyprzedzały nas jakiejś auta, a w pewnym momencie przed nami pojawiło się stado kóz, które trzeba było wymijać będąc dosłownie na krawędzi przepaści. Po lekkim stresie dojechaliśmy na miejsce i mogliśmy odpocząć po emocjonującym przejeździe.

Kolejnego dnia podróży kierowaliśmy się w stronę Kazy. Po szybkim spakowaniu ruszyliśmy. Tak jak dotychczas, nie brakowało wspaniałych widoków. Otaczała nas lekka mgła i mieliśmy obawy, że będziemy jechać przez przełęcz trupów, na której na ostatnich wyprawach działy się różne przygody. Pojechaliśmy jednak inną drogą, gdzie napotkaliśmy spory korek spowodowany wypadkiem ciężarówki. Mieliśmy czas na poobserwowanie płynącej rzeki, pozbieranie kolorowych kwiatków. Kiedy drogowe maszyny uporały się z tą



małą lawiną skalną, cały korek ruszył. Jednak to nie był koniec przeszkód podczas tej i tak już emocjonującej drogi. Trafiliśmy na kolejne zakorkowane wioski, ale z innego powodu. Tego dnia odwiedzał je Lama Rimpocze- znaczący dostojnik buddyjski, który błogosławił mieszkańców a Ci gotowali mu huczne przywitania. Co ileś kilometrów zatrzymywaliśmy się w długim konwoju i wychodziliśmy oglądać śpiewy i tańce zorganizowane dla tej osobistości. Mieszkańcy rozdawali wszystkim chai do picia i chapati do jedzenia. Po jakimś czasie dojechaliśmy do Kazy, gdzie po wyjściu z busików poszliśmy na puję, zorganizowaną dla Lamy, który zatrzymywał się tam na noc. Po wypiciu hektolitrowych chai udaliśmy się do hotelu wypocząć po podróży. Następnego ranka po rozejrzeniu się po miasteczku i upolowaniu czegoś do jedzenia, pojechaliśmy zwiedzić dwa klasztory. Pierwszy znajdował się w Kibber. Weszliśmy na górę, żeby go zobaczyć, ale był zamknięty. Jednak jak chcieliśmy już wracać, zobaczyliśmy jak macha nam biegnący w naszą stronę mnich. Otworzył nam świątynię, pokazał pokoje, w których śpią mnisi i pozwolił zagrać na trąbie. Następnie udaliśmy się do Key. Znajdował się w niej największy młynek modlitewny w Spiti. Również miał gdzieś być sklep z różnymi ciekawymi rzeczami, które należały do ludności Key. Mnisi dostawali je za darmo, bo były one pamiątkami, typu złoty pierścień, z którego kamień wypadł 15 lat wcześniej, a następnie sprzedawane były za drobne pieniądze. Wróciliśmy do hotelu, gdzie mieliśmy czas na pranie, zjedzenie i zrobienie zdjęć paszportowych, potrzebnych do pozwolenia przejazdu przez tereny ograniczone dla turystów. Kolejnego, pięknego, słonecznego dnia zjedliśmy śniadanie i pospieszyliśmy jak najszybciej wyrobić pozwolenia na przejazd. Wypełniliśmy dokumenty, daliśmy zdjęcia i z uśmiechem na twarzy cieszyliśmy się, że zaraz możemy jechać dalej. Ale żeby nie było tak pięknie, zamiast 20/30 minut musieliśmy poczekać prawie 3 godziny. Zmęczeni siedzeniem w tym samym miejscu, nie mając przy sobie nic, przestaliśmy nawet w pewnym momencie ze sobą rozmawiać. W końcu po wydaniu zgód, pobiegliśmy do busików i ruszyliśmy w stronę Tabo. Po drodze wstąpiliśmy do Klasztoru Dhankar. Najpierw weszliśmy na szczyt i mieliśmy piękną panoramę gór, między którymi płynęła sobie leniwie rzeka. Wśród domów, które stały pod nami nie widzieliśmy żywej duszy. Ruszyliśmy trochę niżej, skrót, który wymagał od nas umiejętności kurczowego trzymania się skał, doszliśmy do małego klasztoru, gdzie unosił się słodki zapach kadzideł. Rozejrzeliśmy się chwilę i wróciliśmy do busików, by jechać dalej. W końcu dojechaliśmy do Tabo. Mieliśmy tam zwiedzić klasztor, ale był zamknięty więc od razu zaczęliśmy szukać noclegu. Wrzuciliśmy rzeczy do przyklasztornego hostelu i wieczorkiem zjedliśmy thali. Mieliśmy w końcu czas by posłuchać czegoś o buddyzmie i Himalajach, a potem poszliśmy spać by zdążyć na poranną puję. Obudziły nas budziki o okrutnej piątej rano oznajmując, że czas wyjść na puję. Zebraliśmy się i poszliśmy kawaleczek by usiąść w klasztorze i posłuchać mnichów. Niektórzy z nas tak bardzo się wsłuchali, a inni tak medytowali, że obserwowałam tylko jak ich głowy próbują nie opaść i słyszałam cichutkie chrapanie. Po 45 minutach pobiegliśmy spowrotem do łóżek by jeszcze trochę pospać. Po niezbyt indyjskim śniadaniu wsiedliśmy w busiki i ruszyliśmy w stronę Nako. Po drodze zjechaliśmy zobaczyć świątynię, ale była ona dopiero w budowie więc zadowoliliśmy się małym pomieszczeniem, w którym był posąg bóstwa i mumia mnicha licząca około 500 lat. Trochę zaskoczeni widokiem wsiedliśmy spowrotem i górzystymi drózkami dojechaliśmy do celu. Od razu po przyjeździe poszliśmy nad jezioro ciesząc się widokiem i padającymi na nas promieniami słońca. W końcu mieliśmy czas by poczytać, porysować, czy po prostu porozmawiać. Na kolację, żeby nie było zbyt różnorodności zjedliśmy thali. Rano spotkała nas niespodzianka mianowicie jeden z naszych busików nie mógł ruszyć. Jednak po



wielu próbach udało się i udaliśmy się do Sarahanu. Jednak po drodze spotkała nas kolejna niespodzianka - osunęły się masy skał. Zrobiliśmy więc dwugodzinną przerwę na lunch, po której ruszyliśmy dalej. Znaleźliśmy się w regionie gdzie podobno są najlepsze jabłka na świecie. Ponownie spaliśmy w przyklasztornym hostelu, gdzie w jednym z pokoi znaleźliśmy takiego pająka, jakiego można zobaczyć w programie na temat najniebezpieczniejszych zwierząt świata.

Po wygonieniu tego typu lokatorów poszliśmy spać by znów pójść na poranną puję. Następnego pięknego poranka okazało się, że spóźniliśmy się o godzinę. Nie zrażając się stwierdziliśmy, że po śniadaniu i przechadzce pójdziemy na kolejną puję. Jednak zbyt długo oglądaliśmy architekturę, krajobraz i ponownie się spóźniliśmy. Zobaczyliśmy tylko świątynię od środka, a po spakowaniu się pojechaliśmy do Shimli. Po drodze oglądaliśmy miasteczka i góry spowite mgłą. Wszędzie było widać zielen, gdzieniegdzie sądy przykryte białymi bądź niebieskimi płachtami. W końcu znaleźliśmy się na niższych wysokościach.